Rok I Warszawa, 19 Listopada 1921 r. Nr. 5

MYŚL NARODOWA

POLSKA CZY PIŁSUDSKI?

Sama możliwość głoszenia lub zastanawiania się nad taką alternatywą, samo roztrząsanie pytania: państwo czy osoba jest objawem zupełnego braku poczucia ustroju konstytucyjnego. Jednakże od pierwszej chwili, gdy wypadki stworzyły wolnego obywatela polskiego, mówiąc ściślej, możliwość istnienia takiego obywatela, w ciągu trzech lat życia parlamentarnego, acz prymitywnego, przecież faktycznego, osoba p. Piłsudskiego nie jest legalnym, najwyższym przedstawicielem państwa, jak być powinno, z wszystkimi wypływającymi z tego następstwami, lecz jest państwa polskiego korrektywem, to jest faktem współrzędnym. Zestawienie na tej samej płaszczyźnie zasady i osoby nie znane jest ani ustrojowi monarchicznemu, w którym osoba monarchy jest nadrzędna, ani ustrojowi republikańskiemu, w którym osoba prezydenta jest podrzędna. Natomiast cechą rozstroju anarchicznego jest zrównanie pojęć zasadniczo niewspółmiernych, czego skutkiem jest przeciwstawienie się, dualizm. Jesteśmy u samego źródła anarchji. Jeżeli przeciwnicy rozrostu państwowego Polski mogą sobie czego życzyć, nic im nie idzie bardziej na rękę, niż taki ustrój. Lepszego sprzymierzeńca nikt nie wynajdzie do niszczenia bujnych sił życiowych.

Nie rozpatrujemy tutaj dawności, ani dużych, jak mniemają niektórzy, zasług obywatela Piłsudskiego, ani doniosłych, trudnych do naprawy jego błędów, jak sądzą inni. Od chwili, gdy Sejm powołał go na Naczelnika Państwa, osoba jego nabrała publicznie innego charakteru. Odtąd jego autorytet moralny wymagał zupełnego odsunięcia się od wszelkich wniosków partyjnych i wszelkiej osobistej agitacji. Obowiązuje tutaj niewzruszona, aryjska zasada konstytucyjna: do ut des. Za autorytet moralny Naczelnika Państwa społeczeństwo płaci uszanowaniem i lojalnością; umowa *sine reservatione mentali* obowiązuje obie strony.

Ale wypadki dalsze potoczyły się po innej drodze, którą historjozoficznie możnaby nazwać kierunkiem bizanckim. Społeczeństwo z wyjątkiem małej garstki ludzi, zawistnych o władzę, w ogromnej większości, pragnęło widzieć w obywatelu Piłsudskim swojego Waszyngtona, tymbardziej, że uosabiał on, w mniemaniu społeczeństwa, zasady pracy demokratycznej. I tej ogromnej większości narodu ani śniło się dyskontować jakichkolwiek weksli, z doby niewoli politycznej. Czekało cierpliwie na odpowiedź faktów.

Odpowiedź otrzymana nie była taka, jakiej się spodziewano.

Naród, o silnym korzeniu kultury zachodniej, ulistwiony i owocujący pod jej tchnieniem, nieznoszący koczowniczych, komunistycznych upodobań Wschodu, dostrzegł ze zdumieniem, że człowiek, który był symbolem walki z Rosją, walki tak nieprzejednanej, że przeoczyła nawet grozę militaryzmu niemieckiego, że ten człowiek u władzy, jak gdyby przez Rosję Kiereńskiego, Sawinkowa i Petlury zahypnotyzowany, używa metod i obyczaju, związanych nieśmiertelnie z istotą Rosji, szczepiąc te obce płonki na gruncie polskim, oczywiście nadaremno, bo się nie przyjmą, ale przez takie działanie wywołując sprzeciw i odpór, tak utrudniające embrjonalne kroki państwa polskiego.

Charakterystyczna jest rozmowa Piłsudskiego z „bogonoścem" Mereżkowskim, pełna tajemniczego pokrewieństwa dusz, oczywiście według przekonania tegoż Mereżkowskiego:

Mereżkowskij: „Ty, marszałku, stworzyłeś Polskę; ty mógłbyś powiedzieć: Polska—to ja!"

Piłsudski: „Tak Pan sądzi? A wiesz pan, że przychodzą chwile, kiedy zdaje mi się, że ja wciąż jeszcze *zmagam* się z Polską, że walczę przeciwko Polsce. Jestem człowiek dość mocny, ale niekiedy i ja słabnę..."

Trafne samopoczucie. Polska dlań nie jest imperatywem, lecz stroną, z którą trzeba się *zmagać*. Więc Polska nawiedzona jest przez djabła średniowiecznego, którego „bogonosiec" ma wypędzić. Mistyczno-orjentalne pojęcie państwowości, związane z teorją win, niestety zawsze cudzych (indywidualnie), nie swoich.

„Bogonoścy", zaanektowawszy dla siebie Boga, rzeczywiście wypędzili Go z Rosji. Niewiadomo, kiedy tam powróci.

Takiego przeciwstawienia się jednostki narodowi kultura zachodnia, więc i Polska ani na mgnienie uznać nie może, ani jako postulatu politycznego, bo już z tym po ciężkich walkach skończyła, ani jako postulatu moralnego. Piękne i poważne uroczystości, odbywające się teraz powszechnie na cześć „żołnierza nieznanego", są wyrazem tej prawdy naukowej i uczuciowej, że narody są oceanem pełnym kształtów — indywiduów o niezbadanych zasobach wartości moralnych. Lokalizowanie Boga w jednostkach, które na wierzch wypłynęły i są wypadkiem widome, nie jest ani w duchu ani w zrozumieniu czasu. Na tym polega siła czynna demokracji spółczesnej. Na zapasie *nieznanego*, a wielokrotnego i różnojakowościowego, które wypełni czas przejawem nieprzewidzianym. Poczucie w tym znaczeniu — *wszechludzkie,* chluba kultury nowoczesnej.

Rosja, szerokim, stepowym koczowniczym gestem chciała obdarować Europę swoimi „bogonoścami". Europa nie przyjęła daru. Polska na rubieży Zachodu i Wschodu miewa ich gościnne występy. Los nasz w przyszłości zależy od tego, czy będziemy się z Polską zmagać, czy jej dopomagać.

I. O. Grabowski.

ŻYWOT I MYŚLI P. JANA DĄBSKIEGO

II.

Wielka sala sejmowa na Wiejskiej politykowi tej miary, co p. Dąbski, który przecież nie wyskoczył sroce z pod skrzydełek, jak tylu innych naszych suwerenów, nie mogła zaimponować niczem. Czuł się tam jak u siebie, jak w sali Sokoła w Bóbrce lub Straży pożarnej w Sądowej Wiszni. Ten sam tłum chłopski, a do tego znajomkowie i krajany: tu dawni profesorowie z akademji Enkaenowej, tam koleżkowie z Partji. Nieodstępny od lat dziecinnych mentor Tupet posadził go na czele jednego z długich rzędów ław poselskich, naturalnie ław „ludowych", tuż przy samym p. Witosie. A drugi motor żywota p. Dąbskiego, Spryt, zdziałał, że pretensje do tego miejsca pp. Brylów, Bardlów i Kierników, jak się zrodziły tak i zmarły w niezdrowych ambicji przepastnych głębinach.

Od pierwszych zatem dni istnienia Sejmu obok ludowego leadera Wincentego Witosa, drugim przywódcą Partji ideowym i—*sit venia verbo*—inteligentnym był Jan Dąbski. I chociaż Tupet ciągnął go na trybunę, Spryt przecież mawiał mu zcicha:

— Jasiu, oszczędzaj się. A jednak—to nie Bóbrka. Tam w podziemiach, w sejmowym Tartarze, popatrz, siedzą krwiożercze Kery, stenografistki. Więc uważaj, powściągaj się, czekaj... Godzina 12-ta na twoim zegarze nadchodzi...

Jakoż i wkrótce nadeszła. W epoce, gdy jeśli nie jedynem to bądź co bądź przeważającem kryterjum przy rozdawnictwie urzędów, tek i szlif stał się klucz partyjny, w epoce, gdy inicjały P-S-L stały się owemi tajemniczemi literkami, na których dźwięk otwierają się sezamy wszelakich splendorów, kogóż jak nie p. Dąbskiego „delegować" miała Partja na stanowisko wice-ministra spraw zagranicznych. Ludziom, patrzącym na Polskę przez okulary Zachodu wydawać się może dziwnym ów klucz partyjny przy biurkach urzędniczych. Niech wiedzą, że jest to nowoczesnych polskich Russów „umowa społeczna", której, kto wie, czy nie zawdzięczamy jaki taki spokój w kraju i to, że gabinety ministerjalne nie trwają u nas krócej, niż w krajach, gdzie kryterjami w tym względzie są: przygotowanie fachowe, zdolności i umiejętności. Zresztą p. Dąbskiemu, choć złośliwi pomniejszyciele olbrzymów mówią o nim, jako o ministrze klucza partyjnego, trudno zarzucać dyletantyzm. Przecież, jak się rzekło, ukończył wyższe studja z zakresu polityki zagranicznej w *Alma Mater Encaensis*, habilitował się w Lublinie w naukach antyrosyjskich, a u boku miał takich szefów sekcji, jak Tupet i Spryt, którzy z najcięższych zdołali go wyprowadzić opresji.

Była tylko jedna trudność, właściwie trudnostka, t. j. nieznajomość języków obcych. Przełamał ją z miejsca Tupet:

— Jasiu, jesteś dyplomatą rewolucji. Minęły czasy św. Przymierza i francuskiej paplaniny. Mów o sobie: *Polonus sum!*

(właściwie Wiesław Polonus) i mów tylko po polsku albo nie mów wcale. Lloyd George także mówi tylko swym rodowitym językiem i trzęsie Europą.

I nasz Telemak poszedł za radą swego Mentora. Jak znakomicie sobie dawał radę, przykładem dwa epizody, jak nas zapewniano, autentyczne:

Jeden z księży, posłów sejmowych, zwrócił się do p. Dąbskiego, wówczas jeszcze tylko posła, z propozycją odbycia wspólnej konferencji w jakiejś sprawie kościelno-państwowej z mons. Rattim, ówczesnym nuncjuszem papieskim. P. Dąbski naturalnie się zgodził a na zapytanie księdza, w jakim pragnie z monsignorem rozmawiać języku, włoskim czy francuskim, odpowiedział, że nie robi mu to żadnej różnicy. Podczas konferencji nuncjusz, chcąc się dowiedzieć, jakie w tej sprawie stanowisko zajmują ludowcy, zwrócił się po włosku z zapytaniem do p. Dąbskiego.

— *Si, si, Monsignore*—odrzekł niezmieszany poseł.

Monsignor, widząc, że z włoszczyzną trudno, ponawia zapytanie już po francusku. P. Dąbski odpowiada:

— *Oui, oui... Monsieur.*

Świadkowie tej sceny zapewniali, że zmieszany był ...tylko nucjusz. P. Dąbskiemu nie robiło to żadnej różnicy...

Innym razem p. Dąbski już jako wice-minister znalazł się na bankiecie, wydanym przez ks. Sapiehę na cześć p. Take Jonescu. Małżonkę ministra rumuńskiego posadzono między p. Witosem a p. Daszyńskim, który wprawdzie posiada francuski, ale w zakresie tylko słów „stołowych", jak *café, dessert, vol-au-vent*. Naprzeciwko obok gościa rumuńskiego siadł p. Dąbski. W tem miejscu stołu panowało grobowe milczenie. Po skończonym obiedzie państwo Take Jonescu wyrażali się o dyplomatach polskich w superlatywach, jako o mężach stanu niezwykle zamkniętych w sobie i nawet przy obiedzie głęboko zamyślonych o sprawach państwowych.

Przejdźmy jednak do rzeczy poważniejszych. P. Dąbski, jako znawca Rosji, otrzymał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dział Wschodu. I tutaj dokonał rzeczy, które nazwisko jego zapisały rzeczywiście niezatartemi zgłoskami na pierwszych kartach dziejów odrodzonego państwa polskiego.

Przedewszystkiem tajny układ z Petlurą. Jak o Talleyrand'zie trudno twierdzić, żeby był twórcą wielkich traktatów i paktów napoleońskich, ale przyznać trzeba, że doprowadzenie do nich i ich skonstruowanie jest jego niecoprzeoczonem dziełem, tak i p. Dąbskiemu oddać należy, że niepospolity jego dar orjentacji i przewidywania dał fundamenty pod słynny pakt, zawarty wczesną wiosną r. 1920 z atamanem Semenem Petlurą. Jak wiadomo na skutek tej umowy Polska zrzekała się na rzecz Petluro-Ukrainy ziem leżących na wschód od górnego Styru, średniego Horynia i dolnego Słucza, wraz z Krzemieńcem, Dubnem i Równem, dawała pomoc w oswobodzeniu Ukrainy, w ku-

dziach, broni i gotówce. Ataman dawał jakieś obietnice co do majątków polskich na Rusi i wzorem Zagłoby zrzękał się galicyjskich Niderlandów. Imieniem Polski podpisał pakt p. Dąbski, imieniem Petlury — Petlura.

W tajemniczeni opowiadają, że układ ten zakończyła mała tradycyjna uroczystość. Zjawili się banduryści i federaliści, mołojcy i atamanowe łycari, hajdamacy i peowiacy. Trepak, pieśni, horiłka. Starodawnym zwyczajem pił ataman w ręce polskiego „komysaria", podśpiewując:

Stań, obernysia, hlań, zadywysia,
Kotry wysoko
Umom litajesz, mudrosty znajesz
Szyroko, hluboko...

P. Dąbski nie pozostał dłużnym, pijąc do atamana:

Stań, obernysia, hlań, zadywysia,
Kotry wojujesz
Łukom, striłami, porochom, kulami
I mieczem szyrmujesz...

Ale „wysoko rozumem latający" viceminister i „mieczem szermujący" ataman nie przypuszczali, że tak „szyroko, hluboko" zaczęty sojusz wywoła tyle kwasów. Z powodu formalnego, że akt ów stanął bez wiedzy Sejmu, (bo co do *meritum* jego tylko ciemny tłum szlachecki mógł wnosić protestacje), z powodu tak błahego — powstał huczek. Sejm raz jeszcze dał dowód, jak wybitnym indywidualnościom trudno się pomieścić w ciasnych ramach parlamentaryzmu. Jeszcze więcej huku było, gdy w wyniku owego paktu wojska polskie „śladami Chrobrych i Śmiałych" poszły aż do Złotych Wrót kijowskich, zapowiadając, że pozostaną tam, dopóki władzy nie obejmie „prawy rząd ukraiński". A już okrutny harmider powstał, gdy ta wyprawa skończyła się klęską. Ale nie klęską p. Dąbskiego. Wierny jego sługa, Tupet w klubie poselskim P. S. L. wywiódł jak na dłoni, że choć wojskowo rzecz się nie udała, ale myśl, wielka myśl polityczna zepchnięcia Rosji do Azji pozostała jako drogowskaz i dlatego p. Dąbski musi nadal reprezentować partję w urzędzie spraw zagranicznych.

Tak więc mylnie sądzi ten, kto przypuszcza, że p. Dąbski, idąc przez życie z Tupetem i Sprytem, ma je zasłane tylko różami. Np. z tym p. Patkiem. Polityk był to tęgi, niema co mówić. Ale co za brak taktu! Udając się w czerwcu r. 1920 na jeden z licznych swych wojażów zagranicznych, pozostawia ministerstwo na opiece prof. Dąbrowskiego. Był to afront, na który p. Dąbski reagował natychmiast dymisją. Bo przecież niedość być w Polsce marszałkiem, trzeba być pierwszym marszałkiem, niedość być viceprezydentem Warszawy, trzeba być pierwszym viceprezydentem, taksamo i pierwsza vice-ministratura należała się p. Dąbskiemu.

Partja oburzona takiem sponiewieraniem swego „delegata" przeszła do opozycji względem rządu p. Skulskiego i gabinet

się wywrócił. I nic dziwnego, podstawa bowiem polskiej „umowy społecznej” została zachwiana.

Na szczęście jednak przyszedł wkrótce do steru rząd p. Witosa. Partja „delegowała” znowu na dawne stanowisko najlepszego swego fachowca w osobie p. Dąbskiego. A po ciężkich wypadkach sierpniowych w jego ręce złożyła dyplomatyczne ratowanie Polski.

Widziała bowiem w swym benjaminku jedynego dziedzica idei ludowej i jedyną nadzieję swej przyszłości. Historja zna dużo takich wypadków dziedziczności skrzyżowanej, że przypomnimy tylko Agrypinę i Nerona, Blankę Kastylską i Ludwika IX, Laurę Sabaudzką i Franciszka I.

Przyznać trzeba, że p. Dąbski chętnie wziął to brzemię na barki. Czuł się na siłach. Wiedział, że, gdzie Spryt zawiedzie, tam Tupet przyjdzie z sukursem. Zresztą nabrał już żyłki. Jak dla szlachcica bowiem XVI wieku ponad wszystko były rejowskie: „konik, chartek, ptaszek“, tak dla spadkobiercy jego, ludowca XX wieku trój ideałem jest: „mandacik, teczka, traktacik”.

Zawarcie rozejmu w Rydze wziął tedy p. Dąbski w swoje ręce ochoczo.

R. Stanecki.

KAZANIE NA ZADUSZKI

Profesor politechniki warszawskiej z fachu a z przypadku premier obecnego gabinetu uważał za stosowne w rocznicę wielkiej i świętej jeszcze dla wszystkich zaczajonych aktywistów daty 5 listopada wygłosić w Krakowie, w Sali Magistrackiej „historyczną“ mowę. O mowie tej rozpisały się pisma wszystkich obozów, płytko ją analizując i wyciągając z niej tylko migdałki dla codziennej partyjnej potrzeby i użytku. Ponieważ profesor politechniki warszawskiej rozpowiadał dużo o inteligencji, jej niedoli i jej misji, przeto inteligencja zbiedniała obecnie, sponiewierana, zestrachana czuła się „podniesioną na duchu” i tem należy sobie tłumaczyć tu i owdzie entuzjazm dla premierowskiego kazania.

Tymczasem do entuzjazmu nie było jeszcze żadnej racji. Pogwarek krakowski pana Ponikowskiego, gdy się go przeczyta dzisiaj in extenso, na zimno, był, co tu długo obwijać w bawełnę kompromitująco lichy i amatorski w całem tego słowa znaczeniu. Mowa stała na poziomie oracji prowincjonalnego burmistrza, czy kandydata na posła. Rezonans jaki znalazła w pewnej części prasy jest straszliwym dowodem obniżenia się całego poziomu intellektualnego w społeczeństwie i wyłącznie partyjnego poglądu na wszystkie objawy życia publicznego. Nasz człowiek mówi świetnie, wasz człowiek mówi nędznie.

Mowa p. Ponikowskiego na tym terenie i w tym momencie była przedewszystkiem całkowicie zbędną i nie wypływała logicznie z sytuacji naszej wewnętrznej i w gruncie rzeczy nie wywarła żadnego wrażenia na szerokie warstwy, nie dała żadnego realnego rezultatu. Takie mowy premierów nie w parlamencie nie w stolicy a w innych miastach, w Guidhallu, w miejscu urodzenia, w Saint Hermine, na bankietach mają specjalny sens, o ile wypowiada je autorytet, polityk zasłużony, indywidualność. Pan Ponikowski jest jeszcze tabula rasa, niezapisaną kartą, polityczną nicością. Nie zdziałał literalnie jeszcze nic, nie ma za sobą żadnych aktywów, żadnej działalności, żadnych zasług, żadnego autorytetu. Szara przeciętna figura wyrwana przypadkowo z szarego szeregu kontrybuentów i inteligentnych jako „Abfalls-product" nieprzebłaganej i nieustępliwej walki partyjnej nedopuszczającej na to stanowisko talentów i indywidualności a godzącej się nawet na zero, byle nie na jednostkę silną, jednostkę z przeciwnego obozu. Tego gatunku premier - przypadek, premier - przechodzień nie ma najmniejszego prawa pouczania i mentorowania społeczeństwa i Sejmu w tak apodyktycznym tonie. Może sobie na kazanie sejmowe poza Sejmem pozwolić śmiało Clemenceau, Lloyd George, Benesz, Orlando, Venizelos, Briand, Take-Jonescu, to znaczy indywidualności skrystalizowane od lat, mężowie stanu, fachowcy, ale jest wysoce niestosownem, jeżeli polityk tak świeżego wypieku, amator, ząbkujący dopiero obywatel, szeregowiec ośmiela się uwierzywszy serjo w swoje „powołanie" dawać lekcje całym warstwom, całemu Sejmowi, w którym obok ciżby analfabetycznej jest bądź co bądź kilkudzisięciu ludzi osiwiałych przedwcześnie w służbie publicznej, kilkudziesięciu posłów, u których p. Ponikowski mógłby dopiero terminować i uczyć się politycznego abecadła. Jegomość tak przypadkowy na swym fotelu nie powinien patrzyć na siebie zaraz przez szkło powiększające i imaginować sobie że z momentem, kiedy dostał portfel i woźnego prezydjalnego i „salonkę" do dyspozycji, w mózg jego zaraz wszedł duch Mazzariniego i każde jego słowo zaważy odtąd na losach ojczyzny, zbłąkanych nawróci, opornych poprawi, Sejm oprzytomni, chłopstwo od sławnego egoizmu wyleczy.

P. Ponikowski wyrwany został ze swego profesorskiego gabinetu tylko przez to, że intrygi i manewry maffji belwederskiej nie dopuszczają na to stanowisko indywidualności mocnej, przy którejby zblednąć mogła gwiazda naszego Garibaldiego.

P. Ponikowski egzystuje na powierzchni życia politycznego tylko dzięki temu, że w gabinecie jego znalazł się minister z prawdziwego zdarzenia, t. j. p. Michalski. Z kredytu, jaki p. Michalskiemu dało społeczeństwo, korzysta także i ten „sympatyczny" premjer, któremu wysoka godność jak widać z krakowskiej mówki już nieco za wcześnie zawróciła i zakręciła w główce.

Przed wojną europejską o p. Ponikowskim mało się wiedziało podczas wojny wypłynęło to nazwisko, jako ambitnego młodego profesora przyczepionego do falangi spryciarzy i karjerowiczów progermańskich. Po wojnie obywatel się gdzleś zaszył i nie narzucał opinji swej figurki. Kiedy przyszła obecnie era „rehabilitowania" i wywlekania wszystkich „sterylizowanych" aktywistów i obsadzania nimi wszystkich godności i dostojeństw, przyszła kolej na najbardziej szare i blade typy. Społeczeństwo zblazowało się już chłopskimi geniuszami politycznymi i zatęskniło z powrotem za inteligencją. Poszły do lamusa Rataje, Dąbscy i t. p. Bryle i Kierniki. Na takich reprezentantów inteligencji jak p. p. Kucharzewski czy Estreicher jeszcze nie pora, jeszcze muszą cierpliwie czekać i kształcić się na błędach i gaffach obecnych „przechodniów".

Ale był pod ręką Bogu ducha winny człeczyna, nikomu wody nie mącący a rosły, zdrowy, rumiany, pyzaty i sympatyczny, przedewszystkiem sympatyczny, no i uczciwy, porządny; ani w karty nie gra, ani nie pije, pali tanie cygara i ma skromne mieszkanie, wzorowy pater familias. Taki Bismarck, pił co się zowie, taki Briand był dwukrotnie karany sądownie za obrazę moralności publicznej w pejzażu, taki Lloyd George był po pas wplątany w aferę Marconiego a żywot Clemenceau nie jest też jednym z żywotów nowego Plutarcha. Za to znowuż są to wielkie talenty i twarde indywidualności. Premierem u nas może być nicość, przechodzien, byle sympatyczny, skromny, uczciwy, partyjnie nie eksponowany, ni gorący, ni zimny, ni czerwony, ni biały, ni czarny, a szary... no i aktualnie koniecznie reprezentant inteligencji, więc sam choćby średnia inteligencja. I w ten sposób wypłynął na powierzchnię pierwszy z brzegu ochotny profesor politechniki, nie wstydzący się być premierem strohmanem. Taki Cyncynnat na razie wszystkim konwenjuje i wszystkim się podoba, bo wszystkich „Schadenfreude" zadawala; nie został nasz człowiek ale zato nie został i wasz człowiek zostało: neutrum. Z czasem jedna i druga grupa będzie mogła swobodnie kołki ciosać na takiej głowiźnie, jedna i druga będzie wyrywała słomę ze strohmana i chochoła.

Krakowska pogawędka magistracka p. Ponikowskiego stwierdza, że albo pan premier jest kiepskim reprezentantem rozbrojonej przez maffię belwederską wynędzniałej i zestraszonej a dziś budzącej się z odrętwienia inteligencji albo ta inteligencja zeszła już na bardzo niski poziom jeżeli tak banalne, płytkie i prymitywne ekspektoracje sympatycznego chochoła traktuje jako zadęcie w złoty róg i zwiastowanie lepszej doli dla siebie. W każdej normalnej kamienicy warszawskiej mieszka przynajmniej dwuch adwokatów, którzyby mogli wygłosić każdej chwili podobny speak, naszpikowany takimi sentencjami i odkryciami i morałami. Każdy przeciętny dziennikarz wygłosiłby lepszą, gruntowniejszą i zwartszą, gdyby go przyprzeć do muru. Ale za-

den student z 4 klasy gimnazjalnej w Krakowie nie palnąłby przy „poprawie“ z historji takiego byka jak ten, że Kraków jest kolebką naszego państwa. Pan Ponikowski jest technikiem z fachu i w dziejowości polskiej się nie orjentuje. Powinien jeszcze przysiąść fałdów i cośkolwiek wybębnić o Gnieźnie i Piastach. Z t. z. zaś szkołą historyczną krakowską mógłby się też zapoznać nieco dokładniej i wtedy nieboże inteligentne nie cytowałoby tak naiwnie najzaciętszego russofila jakim był Kalinka jeżeli samo nieboże jest tak prononsowane i uparte w swojej weneracji dla centralnej Europy. Nie wypada reprezentantowi rozbudzonej z drzemki i organizującej się do ofenzywy inteligencji znać Dzieje Polski i historjozofię polską tylko z Wieczorów pod Lipą. Pod tym względem każdy Bryl, Rataj i t. p. Smoła czy Duro mogliby reprezentanta inteligencji lekko pouczyć i mocno skompromitować. Już choćby ze względu na „urok państwowy na zewnątrz“, jak się ten premjer z inteligencji wyraził, nie godzi się nie mieć elementarnych wiadomości z zakresu dziejowości narodu, któremu się przypadkowo premjeruje.

Rozpowiadał też p. Ponikowski o zacietrzewieniu walk partyjnych w Polsce, dając skromnie i z zastrzeżeniami do zrozumienia że z jego wejściem na scenę historyczną walki partyjne osłabły. I to blaga i tamto blaga i legenda. W Polsce jest stosunkowo jak na upokarzająco niski stopień kultury politycznej za wiele partji politycznych, egoizm stanowy partji lewicowych i chłopskich jest za gruboskórny i za zoologiczny. Dynamika atoli ścierań partyjnych jest stosunkowo bardzo mała; ścierają się raczej wysyłani na bój prowodyrzy i chorążowie; gros partyjne, korpus patrzy z założonymi rękoma ospale i gnuśnie, bezczynnie i apatycznie.

Niechno się premjer jegomość przyglądnie nieco partyjnej zaciekłości w Budapeszcie, w Rzymie, w Paryżu, niech sobie przeczyta nieco polemik o Lloyd-George'u, niech się trochę rozejrzy po prasie wiedeńskiej i berlińskiej, a wtedy się przekona ten trochę za parafjalny i za podwórkowy mąż stanu jak to między znanymi mu wyłącznie rogatkami warszawskimi polemiki partyjne odbywają się w rękawiczkach i jak niemrawo bije puls życia międzypartyjnego. Zachęta do złagodzenia walk partyjnych w ojczyźnie jest bakalarskim tuzinkowym tanim frazesem niedokształconego ignoranta, pełnego oczywiście dobrej woli i szlachetnych intencji, ale to jest frazes proboszcza, nie premjera. Można to sobie gadać dziś z powodzeniem jako odkrycie i nowość w Polsce obsługiwanej przez prasę coraz więcej mocarstwową, ale coraz więcej prowincjonalną i kontakt z Europą zatracającą.

Wśród frazesów, truizmów i oklepanek profesora politechniki warszawskiej znalazło się atoli i jedno powiedzionko zgoła już nietaktowne, na które nigdyby sobie nie był pozwolił premjer-chłop, instynktem i chłopskim rozumem kierujący się poprzednik p. Ponikowskiego.

Pan Skirmunt za to wyrwanie się Filipa z Politechniki powinien mu wypalić potężne paternoster i wyprosić sobie podobne gaffy ze strony premjera strohmana. W dniach zawierania umowy z Czechosłowacją premjer-przypadek puścił sobie ze względu na patugajsko-tokajskie audytorjum gościnnych c. krakowiakerów zdańko o „współczuciu dla bliskiego nam narodu węgierskiego". Jakim nam? Rodzinie Ponikowskich? Co rozumie nasz premjer-przechodzeń pod słowem: nam? Chyba nie gabinetu ministrów, którego, jak ogólnie wiadomo, p. Ponikowski jest wyrostkiem robaczkowym! Chyba nie narodu polskiego, który nasłuchał się tyle o bestjalizmach honwedów w Małopolsce i który wie, że wedle pięknych słów Ludendorffa Węgrzy wcześniej czy później staną znów ramię przy ramieniu przy Germanach w godzinie rewanżu. Pan Ponikowski zanadto szybko się mimikryzował w Krakowie i zanadto się przejął szybko sympatjami politycznymi chevaliera Oggiero di Battaglia. Że „Czas" madziaroński roni łezkę po apostolskich Habsburgach, to jest w porządku, gdyż aristocraches parafjalni subwencjonujący sędziwy Kammerdiennerblat, spokrewnieni z wyszuwaksowanymi Belami i Gezami domagają się tego a romantyczna skleroza prof. Zdziechowskiego musi gdzieś ostatecznie znaleść swe ujście.

Ale profesor Ponikowski powinien iść z czasem, nie z „Czasem" i uświadomić raz sobie, że Wielkie Węgry się skończyły, a że nasza racja stanu każe nam raczej zbliżyć się do Czechosłowacji, choćby nas „sentyment" parł do czardaszujących i wrzeszczących, choćby nawet z powrotem katolickich i odżydzonych Węgier. „Polak Węgier dwa bratanki ale tylko do szklanki i do hulanki". Za Bema odpłacili nam w r. 1863 Czengerym, „Eljen Lengyel" zaś t.j. frazes czysto bankietowy i z nocnych kabaretów wiedeńskich, gdzie Czech pije oszczędnie a Polak z Węgrem leżą pod stołem w braterskim uścisku, porozbijawszy szkło...

Wpakowanie więc w Kazanie Zaduszkowe elegijnego ustępu o bliskim p. Ponikowskiemu narodzie węgierskim było schocking. Na to sobie można było pozwolić na komersie techników przy piwie ale nie w uroczystej pretensjonalnej mowie, która ma przejść do historji (rodziny Ponikowskich).

Reasumując całe wrażenie... Mowa, którą się tak egzaltowali pp. Estreicher, Rosner, Ehrenberg, Hoesick, Flach i echt krakauerskie pisma: „Czas", „Bocian", „Djabeł", „Nowości Illustrowane", „Kurjer Illustrowany", „Nowy Dziennik", ...„Danziger Zeitung"... Wienes Journal"... it.p. była szlachetnem w intencjach ale przedwczesnem poronieniem frazesów płytkich, łatwych lub zbytecznych i drażniących. Na nazwę odważnej zasługuje o tyle, o ile się weźmie pod uwagę, że p. Ponikowski jest jeszcze tabula rasa t.j. wyrwanym z życia prywatnego par force i per

fas et nefas, obywatelem na razie jeszcze nic nie reprezentującym, a tylko piękne nadzieje rokującym.

Jeżeli się atoli tę prymitywną, naiwną i komersową orację zestawi np. z mowami politycznymi, jakie swojego czasu wygłaszali mistrze „szkoły krakowskiej", nie już Szujski, Kalinka, L. Wodzicki, P. Górski, ale Koźmian, Tarnowski, Bobrzyński, Dunajewski, to nie sposób otrząść się z przygnębiającego smutku.

Adolf Nowaczyński.

PSYCHOZA ORDEROWA

Z wprost murzyńską zapamiętałością odbywa się u nas obecnie zabawa we wzajemne obwieszanie się orderami. „Mówi Kuba do Jakóba, Jakób do Michała: Masz ty order, mam ja order, kompanija cała..." To na Saskim Placu, to na Belwederskiem podwórzu dzień po dniu staje bataljon, bębny warczą, kapela rżnie, chorągwie furkocą, ze schodów schodzi generalicja w paradzie i zaczyna się salutowanie, baczność, parada, ceremonja. Minister Sosnkowski zawiesza Krzyż Walecznych marszałkowi, marszałek zawiesza Krzyż Walecznych ministrowi, całusy, bębny warczą, kapela rżnie, salutowanie, żegnanie, w prawo marsz, baczność, wiwat, niech żyje, salutowanie, w tył zwrot, bębny warczą, bębny się bawią, samochody furczą, gapie z rozdziawionemi gębami patrzą z za krat...

Podobno taksamo na Kremlu. Tam gławnowierch Trocki-Bronstejn, infekowany militaryzmem przez Ludendorffa, odbywa rewje, parady, prezentacje i obwiesza orderami, gwiazdkami, krzyżami znowu swoich zaufańców i tych co z nim wypłynęli na światło Boże. Gdyby Ludendorff czytywał rosyjskie i polskie gazety mógłby pewnego dnia wyczytać szczegóły o skromnej uroczystości orderowej i w „Polsce Zbrojnej" od stóp do głów i w „Izwiestiach" Prawdopodobnie uśmiechnąłby sie dyabolicznie... Militaryzm jest bowiem wieczny, niezniszczalny. Tylko się przerzuca jak opresja psychiczna z rasy do rasy, z narodu na naród, z warstwy społecznej wyższej do warstwy niższej. Kiedy szlachta się soldateski zrzekła, przerzuca się folie na burżujstwo. Niemcy się gwałtownie leczą, a zapadają na militaryzm ich sąsiedzi. Wczoraj militarystami z passyi byli junkrzy, dziś junkrzy pacyfiści paskują i handlują. Po Książętach Pepich czy Eugenjuszach idą agitatorzy socjalistyczni i szwarcownicy bibuły. Wczoraj Wilhelmy Hohenzolerny dziś Lejby Bronstejny.

Rozmiłowanie się w wojskowości głównie od strony parad i rewji towarzyszy zawsze gorączka orderowa. U nas doszło to powoli, nieznacznie, do granic wprost graniczących i z wodewilem i z obłędem. Można widzieć małoletnich majorów, na których bohaterskiej piersi rozpiera się po kilkanaście olbrzymich oznak rozmaitego kształtu i fasonu. Do kucharki przychodzą w obiadowej porze sierżanci udekorowani jakby wracali z balu maskowego.

W salonach foxfroterują posadzki smukli rotmistrze, drąc Krzyżami Walecznych koronkowe łono danserki. W sklepie spotkać możesz sztabowca kupującego salceson, który na płaszczu nawet przypiął jakoweś żelazne documentum wiernej służby w P. O. W Znawcy obliczają do tychczas 120 orderów i oznak wszelakiego stylu i waloru. Czy nie zadużo?

W ostatnich czasach znów posypał się złoty deszcz krzyżów i odznak na wszystkie strony. Przypadkiem spadł ten deszcz w tych stronach, gdzie skupiło się najwięcej młodzieńców, zasłużonych wyłącznie dla podtrzymania autorytętu i aureoli byłego Naczelnego Wodza. Między innemi „Krzyż Walecznych" otrzymał podpułkownik Wieniawa-Długoszowski i inną oznakę wielką p. Adam Skwarczyński. W kołach wojskowych wywołało to uczucia różnorakie zależnie od temperamentów t.j. oburzenie, zdumienie, smutek lub wprost szaloną wesołość. Są już wypadki, że wojskowi serjo zasłużeni, dowiedziawszy się świeżo o figlarnie dekorowanych pakowali swoje w koperty i odsyłali komu trzeba, a był nawet wypadek przygnębiający, że kilkakrotnie ciężko ranny wyższy wojskowy w podchmielonym stanie niestety publicznie w pełnej restauracji zerwał swoje oznaki i rzucił na ziemię. Fakt bolesny, godny potępienia bezwzględnie, ale również godny potępienia jest ten bezceremonjalny nepotyzm maffji belwederskiej która, rozpanoszywszy się bezkarnie i opanowawszy ster wojskowości w swoje łapy w najcyniczniejszy sposób dekoruje swoich pretorjanów i janczarów.

I to się skończyć musi. W korpusie oficerskim wzburzenie wzrasta. Wojskowi serjo, wojskowi fachowi ze zgrozą patrzą na tę zabawę w wojsko i w ordery, jaką rozpętała klika belwederska. Czas i w to wglądnąć. Sejmowa Komisja wojskowa powinna zażądać przedłożenia sobie listy orderowanych i umotywowania ich dekorowania i bez pardonu skreślić takie wodewilowe igraszki jak z panem Skwarczyńskim. Już i tak zagranicą zaśmiewają się wszyscy z tych „polskich orderów" tak czasem humorystyczno-tragicznych jak polskie urlopy, polskie mosty, polska marka, polski admirał, polski Napoleon, polska gospodarka, polski Patek·...

Orderów jest zadużo i odznaczonych zadużo. Czas skończyć z tym sowieckim bzikiem a la Trocki. Belweder nie może być kordegardą w stylu Fryderyka Wilhelma I, gdzie od rana do nocy dekorowane tylko „lange Kerle..." *a.—ski.*

PUSTE ORZECHY

GODNOŚĆ.

W kołach naszej lewicy opowiadano sobie w ostatnich dniach niby to szeptem, że poseł francuski p. Panafieu i poseł angielski p. Max Müller mieli skłonić p. Naczelnika Państwa argumentami polityki międzynarodowej do przeciwstawienia się

Sejmowi w sprawie słynnej już teraz sprawy przyłączenia powiatów lidzkiego i brasławskiego do plebiscytu wileńskiego.

Podziwiać doprawdy należy niezręczność naszych lewicowców. Skąd posłowie zagraniczni chociażby przedstawiciele rządów zaprzyjaźnionych mieli mieszać się do spraw, co więcej wywoływać kwestje nowe, będące poza forum wszelkiego sporu i wszelkiej wątpliwości. Przyczyniać się do zatargu Naczelnika Państwa w chwili, gdy program ministra Michalskiego, t. j. sanacja finansów Polski wymaga atmosfery spokoju?

Bo przypatrzmy się tylko tańcowi marki polskiej w dół w dniach powstania nowej kwestji...

Chyba, że panowie posłowie mieli dziwaczne instrukcje na skutek fałszywych informacji. Żądać od Naczelnika Państwa, aby osobą swoją zasłaniał fakt niesłychany: zrzekanie się posiadania terytorjum niespornego na niekorzyść posiadania spornego z wszystkiemi takiegoż obecnymi lub przyszłymi następstwami?

Trudno w to uwierzyć, powtarzamy, aby Francja, wielka Francja, przodująca (wraz z Ameryką) światu, jako orędowniczka godności narodowej, mogła mierzyć w uczucie godności narodowej polskiej, do tego w sprawie bez żadnych uzasadnionych powodów. Jest w tem coś tajemniczego, co nie powinno pleśnieć w piwnicach.

— — — — — — — — — — — — — — —

Godność narodowa? Rumieniła się ona często. I wtedy gdy regent Zdzisław Lubomirski jeździł do cesarza Wilhelma w Berlinie, rumieniła się pod Kijowem tym bardziej, gdy lekkomyślnie przypominano jej szczerbiec Chrobrego, rumieniła się, gdy wojsko nasze, pozbawione głowy, rozsypywało się przed bandami Trockiego, rumieniła się w Rydze, zawierając układy ze stroną, która nie jest stroną polityczną, gdyż parlamentuje, według wyrażenia tegoż Trockiego: „pour reconnaître la force de resistance de l'enneme“ (rozpoznać siłę odporną wroga). I rumieniła się jeszcze w wielu innych wypadkach, bolesnych, absurdalnych.

Ale, iż się zdolna rumienić, więc jest ze krwi, pulsuje, żyje, odczuwa.

Lecz bywają inne poglądy.

Poseł sejmowy wyraża się po macedońsku: „polityka to robienie świństw“.

Inny, wysoki dostojnik, wywnętrza się: „polityka to fałszywa gra“.

Jeden z bohaterów farsy „Złoty Cielec”, zapytuje: „pan potrzebujesz mówić: „anioł”, czyś pan *widział* kiedy anioła?“ Trzeba było widzieć w tej roli ś. p. Alojzego Żółkowskiego.

Czy dla ociemniałych świat nie istnieje?

Dziadek.

ZZA KULIS NASZEJ DYPLOMACJI

Gdy wojsko woli politykę zagraniczną.

Jeżeli nasza dyplomacja cywilna przedstawia całą kopalnię szczegółów, godnych uwagi i rozwagi publicznej, to jeszcze bardziej zajmująco wygląda dziedzina dyplomacji wojskowej. Zasada tajności i tajemniczości da się tu przeprowadzić o tyle wygodniej i skuteczniej, że są to rzeczy zupełnie już usunięte z przed oczu ogółu, bo działalność attaché wojskowych podlega bezpośrednio samemu szefowi Sztabu generalnego. A to chyba parawan obszerny i szczelny...

A tak jak wpływ decydujący na cały ogół najdonioślejszych spraw wojskowych skupia się coraz wyłączniej w rękach niewielkiej grupki ludzi zaufanych, dawniej konspirujących w P. O. W., obecnie świecących się koło Belwederu, tak samo jest ze stanowiskami naszych przedstawicieli wojskowych zagranicą.

I słusznie. Inaczejby się nie mogło prowadzić odrębnej polityki zagranicznej, inaczej nie stanowiłoby się drugiego ministerjum spraw zagranicznych. Inaczej musiałoby się z wygodnych kurytarzyków konspiracji przejść do praworządności...

Ktoby się raz w tej służbie naraził władcom, przepadł. Ale kto rąz wszedł w ich łaski, jedzie galopem, z góry i pod górę. Pokazało się to niedawno przy obsadzaniu placówki charkowskiej, gdy na nią forytowano i ostatecznie wysłano majora Górkę.

Przeciw temu mianowaniu podniosły się w całym szeregu organów prasy różnych odcieni poważne zarzuty. Podnoszono, że już zachowanie się p. Górki w Genewie nie było zbyt budujące, a w Bukareszcie stało się gorszące, że grał nałogowo w karty i przegrywał kolosalne sumy. Takie prowadzenie się naszego attache wojskowego nie mogło się przyczynić do wzmocnienia powagi polskiej zagranicą, gdzie przecież ludzie ze światka dyplomatycznego doskonale wszystko o sobie wiedzą i umieją dokładnie zrachować, ile kto ma a ile wydaje, to też ogólnem było przekonanie, że władze wojskowe zajmą się przynajmniej zbadaniem podniesionych zarzutów.

Jednak tego nie uczyniono zupełnie. Ba, nawet nie postarano się o zaprzeczenie w prasie, bodaj formalne. Bo jakżeż przeczyć temu, co i w kraju i zagranicą jest „un secret du polichynele". Wprost—ziegnorowano. A chociaż poważne wstręty przeciwko tej nominacji pochodziły od M. S. Z., które nawet wydało komunikat, przeczący wysyłaniu p. Górki do Charkowa, Sztab ze swej strony oświadczył zaraz co innego, a p. Górka ostatecznie pojechał. Gen. Sikorski postawił na swojem. Wszak mu nie o jakiś tam prestige państwa chodzi, ale o posłuszne narzędzie. Miałby się wyrzec wygód własnej odrębnej dyplomacji?

Na miejsce p. Górki ma pojechać do Rumunji p. Wieniawa-Długoszowski. Oczywiście, jeżeli monopol P. O. W., to monopol, a Belweder tu chyba primus inter pares. P. Długoszowski za-

poznał się zresztą już z paru dygnitarzami rumuńskimi, przybyłymi do Warszawy w delegacji, jeszcze ubiegłej zimy, gdy w imieniu Naczelnego Wodza zjawił się na wydanym dla nich bankiecie. Trzeba było wznieść toast na cześć króla rumuńskiego. P. D. wygłosił więc krótkie przemowienie, które zakończył okrzykiem: — Niech żyje król Karol!

Ale toast ten jakoś nie wywołał entuzjazmu. Rumuni spojrzeli po sobie zdziwieni zawahali się na chwilę; wreszcie podnieśli kielichy i wychylili je za zdrowie Karola, ale nie bardzo wierząc w zdrowy sens tego, co czynią. Bo król Karol umarł jeszcze w r. 1916, a obecnie panuje w Rumunji król Ferdynand...

P. Wieniawa-Długoszowski zdał więc egzamin i pojedzie pod dobremi auspicjami. Jako dyplomata i rozważny i wykształcony i taktowny... *Spectans.*

GOSPODARKA WOJSKOWA

PRZYCZYNY ZŁA.

Wiele pisano dotąd o wojsku, wiele pisano o gospodarce wojskowej, dopatrywano się winy złego w powojennej demoralizacji. Zdrowy sąd zaciemniał stale sentyment, jaki ma społeczeństwo dla swej armji. Dziś, gdy minęła wojna, gdy armja organizuje się od podstaw w warunkach korzystnych, gdy sądu nie zaciemnia ów sestyment, potęgowany przez zdarzenia wojenne, należy wielu kwestjom spojrzeć odważnie w oczy.

Jednym z kardynalnych powodów niedomagania gospodarki wojskowej jest brak odpowiednich ludzi, lub raczej nieracjonalna obsada kierowniczych stanowisk. Bo mimo szczupłej ilości ludzi odpowiednio wyszkolonych, znalazłoby się przecie tych kilku najodpowiedniejszych.

Na jednej z konferencji prasowych zapewniał dziennikarzy p. płk. Gorecki, obecnie zastępca szefa gen. kontroli wojskowej, że tarcia, które między t. zw. grupami istniały — już znikły. Chcemy w to wierzyć i na równi z p. płk. Goreckim tego pragniemy. I nie będziemy obecnie tą sprawą się zajmować, bo nie idzie zupełnie o atak na b. legjonistów.

Rzecz w tem, że chcemy zwrócić uwagę na źródło wszelkich niedomagań gospodarki wojskowej, na Sekcję Organizacyjno - Personalną Dep. VII Inst. Jeżeli istniały jakie tarcia, jeżeli stanowiska są nieodpowiednio obsadzone, co w skutkach powoduje owe kolosalne niedomagania to jest winą Sekcji Org.-Pers., której zadania i nieszczęśliwy skład zna p. płk. Gorecki dokładnie.

P. płk. Gorecki wie, że szefem tej Sekcji jest mjr. Kazimierz Hubert, który mianowany przez osławionego gen. Roję wprost z podporucznika kapitanem (której to nominacji przez długi czas nie chciano uznać, wobec czego p. Hubert pobierał gażę podporucznika a nosił odznaki kapitańskie), podciągnięty wreszcie przez komisję weryfikacyjną do stopnia majora), ma obecnie zostać pułkowniklem.

P. płk. Gorecki dobrze wie, kto właściwie rządzi personaljami w Dep. Gosp., gdzie szef tego Dep., p. płk. Litwinowicz zostawia najzupełniej wolną rękę mjr. Hubertowi, mimo, że jako szef ma prawo jego wnioski akceptować lub nie. P. płk. Gorecki wie tak dobrze, a nawet lepiej niż my, że w Sekcji Org.-Pers., gdzie p. mjr. Hubert jest szefem, wydział „Mob" właściwie nie istnieje, ale bo któż z tej sekcji rozumie się na tych sprawach!? To jednak nie przeszkodziło zupełnie temu, że przy wyborze kandydatów na kurs intendentów wyznaczono aż 11 z Dep. Gosp i aż 3 z samej Sekcji Organizacyjno - Personalnej. Rzecz jasna, że decydującym był szef sekcji mjr. K. Hubert. **Wśród przyjętych na kurs jest także szwagier pana majora kpt. Sztoufer,**

Czy p. płk. Gorecki przypuszcza, że cały kourpus oficerów gospodarczych będzie zachwycony tą samowolną decyzją majora Huberta i uwierzy odrazu, że zatwierdzeni przez niego kandydaci, wśród których znajduje się i jego szwagier, są faktycznie tymi najzdolniejszymi?

Skutki samowoli p. Huberta poczynają przybierać rozmiary zastraszające. Oto dzięki jego machinacjom usuwa się od pracy jeden z najzdolniejszych pracowników naszego korpusu intendentów, b. szef Intendentury Polowej w czasach najcięższych, obecnie szef Int. D. O. G. Warszawa, płk. Pietruszewicz.

Tu nie pomogą konferencje prasowe. Tu zaufanie społeczeństwa może umocnić jedynie fakt postawienia na stanowiskach decydujących ludzi nieskazitelnych. *Gamma.*

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY

W tum dniu — jak doniosły dzienniki przy wyborach w „Czytelni Akademickiej" we Lwowie obóz narodowy odniósł całkowite zwycięstwo, Do wydziału „Czytelni" wybrani zostali studenci: Bertom, Czartoryski. Mochowicz, i Stahl, wszyscy czterej, jako kandydaci obozu narodowego.

Każdy, kto chociaż cokolwiek zna stosunki akademickie we Lwowie. doceni wartość tego zwycięstwa „Czytelnia akademicka" jest instytucją, istniejącą od lat kilkudziesięciu; grupuje ona ogół lwowskiej młodzieży akademickiej i uważana jest powierzchnie za uprawnioną do reprezentowania tego ogółu na zewnątrz. Z tego względu walki przy wyborach du wydziału „Czytelni" były zawsze bardzo zacięte, a rezultat ich dawał obraz siły i znaczenia poszczególnych prądów ideowych wśród młodzieży.

Rezultat więc wyborców w „Czytelni Akademickiej" jest faktem niezwykle znamiennym. Jest on godzien uwagi z innych środowisk akademickich coraz częściej nadchodzące wieści świadczące, iż kierunek narodowy zdobywa wśród młodzieży przewagą. Fakty także dziwić muszą oczywiście osiwiałych „postępowców" i „radykałów", którzy dotąd nie są w stanie zrozumieć, że idee socjalistyczne i literalne, którym kiedyś w latach młodości hołdowali, dziś straciły już świeżość i siłę nad umysłami młodzieży zapanować. Życie idzie naprzód nieubłaganie. Wnukowie coraz mniej mają wspólnego ze starczą ideologją Dziadka i coraz mniej wierzą w bajki, opowiadane przez niego i o nim.

WŚRÓD KSIĄŻEK

„Przegląd Warszawski" Nr. 1 października 1921 r.

Pod redakcją p. Wacława Borowego, a nakładem Instytutu Wydawniczego: „Biblioteka Polska" ukazał się pierwszy zeszyt miesięcznika: „Przegląd Warszawski". Miesięcznik ten poza działami literatury twórczej pragnie jaknajszerzej uwzględniać krytykę literacką i artystyczną, a obok niej zagadnienia z dziedziny historji, socjologji, etnografji, filozofji, psychologji, w najszerszym zakresie. Zeszyt pierwszy przynosi prace pp. Kołaczkowskiego, Folkierskiego, prof. Chrzanowskiego, Kucharskiego, Orkana, Łempickiego. Żywe zainteresowanie wywołuje doskonały dział przeglądów z dziedziny belletrystyki i nauki. Żywić można nadzieje, że starannie i czytelnie redagowany „Przegląd Warszawski" przyczyni się do ożywienia ruchu kulturalnego, cofniętego nieco u nas w latach ostatnich.

Cena pojedyńczego egzemplarza 40 mk. Prenumerata kwartalnie mk. 480, półrocznie 960, rocznie 1920. Zagranicą 2880.

Ceny ogłoszeń: Za wiersz milimetrowy lub jego miejsce na II stronie mk. 130, na przedostatniej 100 mk., na ostatniej 110 mk. (3 szpalty).

Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.